

Nowi dziuromódlcy

Czy naprawdę krzywdzimy naturę już samym faktem swojego funkcjonowania? Wycierając pecyny naniesionego przez psa błota, szpachlując ścianę, sięgając po ekierkę? – pyta Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

„Atlas dziur i szczelin” Michała Książka pochłonie każdego, kto uzna, że słowa drukowanej dedykacji – „Dla wszystkich, którzy szukają przyrody w mieście” – są skierowane do niego. Ja rozpoznaję się w tej kategorii bez trudu, nie mogłem oderwać się od opisu żerującej sikory modrej („Stojąc na jednej łapce, drugą przyciąga sąsiedni liść i ogląda go dokładnie od dołu do góry w poszukiwaniu złóż owadzich jaj”), od przejmującego epitafium („Na przejściu dla pieszych przez ulicę Armii Ludowej lśni pancerz kruszczyca złotawki. Zielony, wielki jak pięć złotych, ze złotymi wstawkami i czarnymi odnóżami. Rozpędzona w powietrzu przypomina cukierek czekoladowy w złoto-zielonym papierku, rozjechana przez samochody – monetę”) i fachowych informacji o obiegu wody w ekosystemach, w tym o *petrichorze*. Ta nazwa zafascynować może filologów klasycznych (to neologizm, powstały z połączenia greckich określeń na ‘kamień’ i krew bogów), ale zapach kochają wszyscy, również nieuczeni: *petrichor* to woń deszczu na betonie, aerozol powstały z mieszaniny mikrokropli i olejków eterycznych wielu roślin trawnikowych.

„Miasto” jest w dedykacji Książka równie istotne, jak „przyroda”. Oczywiście, dzięcioły, pełzacze i kowaliki są takie same wszędzie, podobnie jak obramienia pnia wokół zranienia drzewa, czyli przyszłej dziupli, jak sposoby wyściełania gniazda, ekspansja rdestu ptasiego i szukających wilgoci mchów. (Wszyscy, którzy narzekają nieraz na brzydotę polskiego nazewnictwa anatomicznego, powinni dla odtrutki sięgnąć po książkę Michała i smakować nazwy mchów i grzybów. Rozłupek, szurpek i strzechwa, gmatki dębowe i wrośniaki różnobarwne, sadzaki i rozszczepki – wygląda na to, że nie ma partii scrabble’a, której nie dałoby się w Polsce wygrać kartkując podręcznik mykologii!). Ale istotą tej książki jest opis współistnienia tych dwóch światów – miejskiego i „naturalnego” w granicach wyznaczonych przez siatkę ulic, labirynt kanalizacji, niegościnne wyspy ciepła.

Nie jest to pierwsza książka opisująca fenomeny synantropizacji oraz krzywdy, jakie ludzie, najczęściej przez bezmyślność, wyrządzają poszczególnym zwierzętom, gatunkom, przyrodzie „jako takiej”, a w konsekwencji sobie. Michał Książek jest w większości skupiony na tych krzywdach, ta książka nie jest sielanką o podkradających kartony z mlekiem krukowatych i kunach za kaloryferem. Owszem, robi wrażenie odwrócenie perspektywy w spojrzeniu na Pałac Kultury i Nauki, który jawi się zwierzętom i roślinom jako „wielka i ciepła góra o stromych ścianach”, nie zabrakło miłej historyjki o pliszce siwej, która uwiła gniazdo pod maską Wartburga i – mimo regularnych kursów samochodu – bezpiecznie odchowwała potomstwo (ach, ta NRD-owska technika!).

Ogromna większość książki traktuje jednak o krzywdach. O dokonującym się ludzkimi rękami krępowaniu, przystrzyganiu, podtruwaniu, najszerzej – tamowaniu: wody i życia przyrody. Zaczyna się od opisu sytuacji przez nikogo niezawinionych: poliestrowe nici,

znoszone przez ptaki warszawskie do wyścielenia gniazda, trzymają ciepło gorzej niż sierść żubra, a miejskie wróble, żywiące się resztkami kebabu i pizzy, mają wyraźnie podwyższony poziom cukru – ale przecież nikt nie będzie winić krawcowych, że nie ubierają populacji wyłącznie w futra, ani konsumentów fast foodów, że zostawiają za sobą ścieżkę z okruchów.

*Kto nie lamentuje nad
bezsensownym ogławianiem
drzew, ich wycinką wzdłuż
szos, pochopnym usuwaniem
z parków pni powalonych
przez wiatr?*

Nie w niciach kłopot,
lecz w przewinach
poważniejszych,
czasem znanych
hasłowo, bo
wymienianych w
tysiącach publikacji:
kto nie słyszał o
betonozie czy o złej

retencji wody deszczowej, skutkującej powodziami miejskimi po każdej większej ulewie? Kto nie lamentuje nad bezsensownym ogławianiem drzew, ich wycinką wzdłuż szos, pochopnym usuwaniem z parków pni powalonych przez wiatr? Michał Książek opisuje te i inne zjawiska z perspektywy nie tyle ekologa „systemowego”, co pojedynczego, niespiesznego obserwatora: ubolewa nad glebą, zbitą w Parku Świętokrzyskim na beton, nad korzeniami drzew, przycinanymi bezmyślnie przy okazji budowy byle chodnika, nad plastikiem odkładającym się w przewodach pokarmowych zwierząt i perforującym je bezlitośnie, nad tysiącami wróbli i jerzyków rokrocznie zamurowywanych żywcem podczas tynkowania instalacji.

W tym sprzecznie jestem z nim, wdzięczny mu jestem za uważność i za rady, które podsuwa, czasem takie, które nie ocalą całego świata, ale jedną usychającą po sąsiedzku lipę, czasem systemowe, jak kiedy opisuje hydrorabaty na gdyńskim osiedlu i powstający w tym mieście system retencji wody deszczowej.

Mój niepokój budzi dopiero niechęć, którą w „Atlasie dziur i szczelin” usłyszeć można nie tylko przy opisie ginących za kratką wentylacyjną młodych kawek czy bydgoskiej topoli, której brukarze odcięli korzeń kotwiczący, przez co kilka miesięcy później drzewo runęło. Nie. Jest to, mam wrażenie, niechęć do ludzi, gatunku agresywnego i krzywdzącego inne *per se*, z samej swej natury.

Zaczyna się niewinnie, przy okazji opisu ekosystemu Parku Świętokrzyskiego, w którym z dziuplami sikor modrych sąsiaduje „bar, gdzie pije się nalewkę, ławki, na których pije się wódkę, oraz krzak za przystankiem, gdzie się sika”. To prawda, są to pewnie czynności nierzadkie, szczególnie w pobliżu okrągłaka przy Emilii Plater, sam oddawałem się w tym miejscu przynajmniej dwóm z nich. Nie są to jednak jedyne przejawy ludzkiego działania w tym kwartale ulic, gdzie mieści się kilka teatrów, kilka instytutów PAN, z tysiąc pewnie sklepów, firemek i banków. A jednak tę nutę słyszałem odtąd w „Atlasie...” coraz częściej, razem z uwagami o „kraju, który nienawidzi drzew”. O kimś, kto – bezczelny! – „przyozdobił dwie jabłonie w szklane kulki z zielonkawego przezroczystego szkła, choć mogły to być małe jabłka”.

Nie jest ta niechęć modnym prychnieniem na „tenkraj”, nie wiąże się też z bieżącymi okopami politycznymi. Owszem, Książek chichocze z marmurów Lichenia, kiedy zaś opisuje gdańską rzeźbę znaną jako Drzewo Millenium, nie kryje despektu dla wymienionych na tablicy

honorowej „kilku białych mężczyzn, którzy pełnili ważne dla nich funkcje w Kościele, w kraju i w Gdańsku w 1997 roku”. Ta wycieczka pod adresem „kilku białych mężczyzn” to wyjątkowo pocieszny *woke'izm* po polsku (istotnie, w życiu publicznym III RP w połowie lat 90. Maorysek i Erytrejek było jak na lekarstwo. Wieczna nam za to hańba!), ale też równo rozdzielony: te rozpychające się samce to, jak łatwo sprawdzić w kalendarzu, ówczesny biskup Tadeusz Gocłowski, ale też prezydent Aleksander Kwaśniewski i prezydent Gdańska Tomasz Posadzki, działacz UW i UD; w ogóle więc nie o klucz partyjny tu chodzi.

Wydaje mi się, że w „Atlasie...” dochodzi do głosu – szczególnie we fragmentach wyróżnionych krojem czcionki, stanowiących odautorski komentarz – niechęć do gatunku ludzkiego jako takiego. Gatunku, który nieznośny jest nie tyle przez dochodzącą nieraz do głosu pychę, bezmyślną eksploatację zasobów, podcinanie korzeni topól i zamurowywanie jerzyków – co przez sam fakt swojego istnienia, które nieuchronnie dokonuje się w kontrze wobec przyrody, nawet, jeśli nie jest jej bezmyślnym albo świadomym niszczeniem. Kosa przeciw łące. Mydło przeciw pleśni. Linia przeciw spirali.

Tę myśl prześledzić można u Michała Książka szczególnie na przykładzie dziur: zaczyna od ich pochwały jako niecek, w których mogą rosnać mchy i zbierać się woda, jako przyszłych gniazd – by rychło przejść do sarkastycznego oskarżenia *homo sapiens*, który „ma zwykle problem z dziurami. Są one uniwersalnym synonimem uszkodzenia, braku, ubytku. Dziurawy w różnych kulturach oznacza niesprawny, nienadający się, martwy. Sednem zarzutu o brak piątej klepki jest dziura”. Przywarą naszego gatunku jest zdaniem pisarza „trypofobia – natrętny, czasem nieuświadomiany lęk przed dziurą.

Szczególny wyraz [trypofobia] znalazła w ogrodnictwie, gdzie do niedawna dziury drzewne, czyli dziuple, zalewano betonem. (...) Trypofob na dziurę reaguje natychmiastowym kompulsywnym remontem bądź cięciem. To człowiek biegły w budowlance i technologii materiałów, lubujący się w różnych rodzajach klejów, łąt i zatyczek. Posiada zestaw narzędzi i kartę stałego klienta do sklepów narzędziowo-budowlanych”. I tak dalej, aż po ironiczne zdefiniowanie remontu jako „kompulsywnej reakcji homo sapiens na dziurę, przeciek wody, owocnik grzyba. Nie jest [remont] jednorazową czynnością, jest raczej postawą wpisaną w los człowieka. W kulturze ma rangę paradygmatu. Remont nigdy się nie kończy, gdyż nie jest to celem remontujących. Celem jest ustawiczne naprawianie, kopanie, zasypywanie. Burzenie i budowanie. (...). Szereg czynności zapobiegających rozkładowi, kiełkowaniu, powstawaniu błota, pęknięć, dziur. Tam gdzie jest ładnie, zniszczona jest hydrologia, a woda płynie pod kontrolą”.

To zaś – jeśli czytać Książka konsekwentnie i nie ograniczając się do czułości wobec trzmieli drzewnych, którą tak chwali w okładkowym blurbie Filip Springer - oznacza, że konflikt *natury z kulturą* jest immanentny. Że krzywda, jakiej doświadcza świat za sprawą ludzi, zaczęła się od pierwszej bruzdy wyrytej przez sochę w glebie, pierwszego roznieconego ognia. Że nic nie załatwi rozkucie zabetonowanych placów, wprowadzenie systemów odzysku deszczówki, niekoszenie trawników i rygorystyczna ochrona drzew. Że krzywdzimy już samym faktem swojego funkcjonowania. Wycierając pecyny naniesionego przez psa błota. Szpachlując ścianę. Sięgając po ekierkę – bo przecież pion i kąt prosty nie zostały wymyślone przez neurotyków, którzy uparli się torturować entuzjastów secesji i florilegiów: bez nich po prostu każda wzniesiona stabilna struktura, czy to będzie ołtarz, tablica szkolna, szpital czy bar piwny, po chwili runą.

Oczywiście, „Atlas...” nie jest pierwszym dziełem, którego autor odrzuca perspektywę antropocentryczną i wyciąga z tego konsekwencje: od lat czynne są ruchy postulujące bardziej czy mniej aktywną depopulację Ziemi w imię jej dobrostanu. Przesunięcie punktu patrzenia widoczne jest choćby w ostatnich książkach Olgi Tokarczuk czy Ingi Iwasiów. Zastanowiło mnie ono jednak u Michała Książka, który prowadzi nas, uwodzicielsko, od czułości dla kruszczycy złotawki ku nieczułości wobec dwunogiego gatunku, któremu zdarza się, owszem, betonować trawniki, chłostać konie i czynić wiele podobnych okropieństw – ale zdarza się też robić inne rzeczy.

Zdarza się i Michałowi Książkowi. Jedną z bardziej przejmujących scen w „Atlasie..” to ta, w której obserwując niespokojne wrony, znajduje w krzakach Parku Świętokrzyskiego gniazdo pokrzewki, a w nim „pięć piskląt, przezroczystych niczym różowe żelki”. I czuwa przy nim. „Siedzę długo. Wiem, że jeśli odejdę, wrona zabije wszystkie pisklaki pokrzewki. I że nic nie da się z tym zrobić”. No właśnie. Ciągle jeszcze nie ma nic bardziej zwierzęcego niż czyste sumienie na trzeciej planecie od Słońca.

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

awo